Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata rocznie 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr.
Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po 4 kr. za następne po 2 kr.; w dodatku po 3 kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

10. Kwietnia 1856. №43. Rok trzeci.

Magnat wielkopolski.

(Ustęp z pamiętników J. D. Ochockiego)

przepisanych przez

J. I. Kraszewskiego.

Dokończenie.

Gdyśmy wyjeżdzali po wieczerzy, wszyscy nas, stojąc na galeryi, żegnali, a tak obdarzono specyałami na drogę, że nóg w powozie pomieścić nie było można. Pożegnanie było czułe, ja z kocza jeszcze wyskoczyłem ucałować ręce dam; nieoceniona pani podkomorzyna obsypała mnie wielu obowiązującemi grzecznościami; powtórzyłem jej słowo, że będę na świętach, a dłonie nasze z panną Emilią tak się przy rozstaniu skleiły, jak dwie połowy metalowe kuli, z której powietrze wyciągnąwszy, sześciu ich końmi rozerwać niepodobna.

Cóż powiem o pannie Emilii? Chociaż w mem sercu zawsze nad nią przeważała Jagusia, wszakże jej piękność i grzeczność wielce mnie ujęły; mówiliśmy o niej całą drogę i przyznam się, że ja sam zaczynałem o tem. Antoś, jako krewny, zbliżony do niej, zapewniał mnie, żem niepoślednie w sercu jej otrzymał miejsce.

Nieszczęście, które nastąpić miało, którcśmy wówczas ani przewidywali, przerwało moje stosunki z domem podkomorzego i moje tu projekta spełzły na niczem. Panna Emilia była miernego wzrostu, szczupła; twarzyczkę miała małą, z noskiem trochę zadartym, oznaczającym zwykle wesołość charakteru, którą i ona obdarzoną była; przy świetle szczególniej się wydawała. Była to jedna z najpiękniejszych brunetek, jakie mi się widzieć trafiło; manierę i obejście miała miłe i wdzięczne; grała na fortepianie i tańcowała bardzo pięknie.

Wszystko zdawało się składać jak najpomyślniej dla Antosia; ojciec na wyjezdnem dał mu sto czerwonych złotych, oprócz pensyi, za to, że syn dogodził jego dumie garderobą i strzelcem, a nawet dosyć się z nim jakoś obchodził delikatnie; matka i stryj zaręczali mu, że wszelkiemi siłami starać się będą o to, żeby ojca do umiarkowania nakłonić; smutek go jednak nie odstępował głęboki, ciężki, niezwyciężony, zbliżający się do rozpaczy, jakby przeczucie nieszczęścia, które mu groziło. Przyjechaliśmy ledwie do Lublina, pośpieszył zaraz odwiedzić swoją kochankę; oba zastaliśmy je wiernemi, a rozstanie zwiększyło tylko moc wspólnego przywiązania.

Tegoż dnia byłem u państwa Targowskich; opowiadałem im o domu Lipskich, o przyjęciu i dostatkach, a panna Ewa rozpłakała się.

— Tem gorzej dla mnie! — zawołała..... i miała słuszność.

We dwa blisko tygodnie po powrocie naszym, przybył z Janowca dworski podkomorzego i oddał list panu Antoniemu; byłem przy nim gdy go odebrał, oczy stanęły mu słupem, zadrżał i machinalnie podał mi to pismo fatalne.

List ten zawierał w sobie, co tylko gniew, obrażona duma i przywykły do rozkazywania charakter najprzykrzejszego na papier wylać mogły: wyrzuty, złorzeczenia, przekleństwa, w ostatku rozkaz niezwłocznego stawienia się przed ojcem. Obcy, straciłem przytomność czytając go; Antoś padł na łóżko i w osłupieniu pozostał jak nieżywy. Posłałem natychmiast po doktora i musiał mu z lekka opowiedzieć przyczynę tak gwałtownego wstrząśnienia; pan Watyszkiewicz zrobił co mógł by go otrzeźwić, wrócił mu ruch, ale chory pozostał bez mowy, milczący jak głaz.

Ja tymczasem puściłem dworskiego do siebie i jakby przeczuciem spytałem go:

— Nie masz Waćpan listu do panny Targowskiej?

— Mam, ale mi go pan polecił oddać do rąk jej własnych.

Począłem naglić żeby mi go powierzył, opierał się; prosiłem, wreszcie dałem mu zań cztery dukaty i poprzysiągłem tajemnicę.

Otworzyłem list ten i dreszcz pobiegł po mnie, piekło chyba mogło coś podobnego podyktować. Podkomorzy lżył niewinną istotę najniegodziwszemi wyrazy, nazywał ją podłą zalotnicą, która przez intrygi i zabiegi wplątała młodego chłopca w swe sidła, dla korzystania z jego majątku i wciśnienia się do rodziny, do której przyjętą być nie mogła; wyrzucał jej ruinę i długi Antoniego, groził prześladowaniem i karą obojgu, słowem, najstraszniejsze rzeczy, napisane w sposób najnieumiarkowańszy i bez żadnej litości.

Antoni dostał gorączki; krew mu puszczono, postawiono wezykatorye i trzeciego dnia ledwie do zupełnej przyszedł przytomności; tymczasem posłańcy od panny Ewy dowiedzieli się i donieśli o jego stanie; musiałem biedz do nich.

Panna Ewa rozchorowała się także, zastałem ją w łóżku; wiedziała, że jest posłaniec od ojca i domyśliła się wszystkiego, lubo to przed nią i ja i inni taili; choroba Antoniego, oddalenie, niepokój o przyszłość, wprawiły ją w niewypowiedzianą rozpacz.

Posłaniec czekał darmo; przekonawszy się, że Antoniego nie zabierze z sobą, umyślił powrócić z oznajmieniem o chorobie; napisałem przez niego do pani podkomorzynej, wystawując jej stan syna, a do pana Cześnika

prosząc, ażeby przyjechał co najprędzej; z tem wyprawiliśmy dworskiego nazad.

O trzydzieści mil od Lublina nie tak się było można prędko spodziewać odpowiedzi, i to uspokoiło nieco Antoniego, zaczął mówić nieco, układał różne projekta, chciał się zamknąć w klasztorze Kapucynów na resztę życia, to znowu uciekać za granicę; ofiarowałem mu w tym celu wexel Kabrego na tysiąc dukatów i pieniądze na opłacenie długów, ale skończyło się na tem zawsze:

— Na co mi to wszystko, kiedy Ewelinę stracę....

Były chwile, że w zapędzie myślał o odebraniu sobie życia.

Nadewszystko pragnął widzieć jeszcze raz pannę Ewę, ale tak był zmieniony, tak niepodobny do siebie, żem się go bał wypuścić, aby się nie zdradził twarzą, wyrażającą najostateczniejszą rozpacz. Skotnicki i ja na chwilęśmy go nie odstępowali; raz jakby wieszczo odezwał się:

— Ojciec mój zapewne pisał do Eweliny?

— Tak jest, ale ten list jest u mnie i niezostał oddany, odpowiedziałem,

Podziękował mi za tę ostrożność i żądał go widzieć; wzbraniałem się zrazu, ale w końcu potrzeba było pokazać; przeczytał, a gniew i rozdrażnienie zaczęły go ożywiać na chwilę, przytomność odzyskał, oczy nawet, które dotąd ciągle jakby nieruchome były, nabrały blasku i życia. Zażądał znowu widzieć pannę Ewelinę: musieliśmy go zawieźć ze Skotnickim, ale spotkania ich z sobą opisywać się nie ośmielę — coś w niem było przerażającego, okropnego; cały dzień tam strawił i oderwać go od niej nie było podobna, sto razy zrywał się jechać, i znowu powracał. Nakoniec wróciliśmy do domu, i zdał się nieco spokojniejszy.

— Chce mi się spać — rzekł do nas — idźcie na tamtą stronę, spocznę....

Byliśmy znużeni także i poszliśmy się położyć, z wieczora czuwając jednak; kilka razy przychodziliśmy słuchać co się z nim dzieje, nade dniem cicho było.... zawołał swego służącego i posłał go z listem do panny Ewy; jużeśmy wówczas nie spali; posłyszawszy wchodzącego zapytałem lokaja:

— Dokąd idzie?

— Do panny Eweliny.

Nic w tem nie było dziwnego, w kilka minut po tem usłyszeliśmy nagle wystrzał; wbiegliśmy do pokoju pełnego dymu. —

Przyjaciel mój leżał na ziemi z roztrzaskaną głową.

Rozruch się zrobił w całej kamienicy, ledwiem zdążył zarzucić na siebie kapotę i wybiegłem odurzony, na dole spotkałem Jagusię z rękami załamanemi w rozpaczy i nieprzytomną; odprowadziłem do jej pokoju. Ledwiem ją uspokoić potrafił, przestrach jednak wywarł później swe skutki.

— Zlękłam się o ciebie? — zawołała rozpłakana.

Natychmiast pobiegłem do pana Raczyńskiego, bo niepodobna było zostać na tej kwaterze, zaprosił mnie do swojej i zaraz przeprowadziłem się do niej. Policya wzięła się do śledzenia, ale ani mnie ani Skotnickiego nie powoływano; dowiedziałem się później że znaleziono w pokoju list zapieczętowany do matki, drugi do stryja, trzeci zaczęty do ojca.

W kilka dni stryj nadjechał i natychmiast przyszedł do mnie, popłakaliśmy się oba nad wielką i nienagrodzoną stratą; ojciec nie dał się przebłagać i zmiękczyć; słyszałem później że matka życiem przepłaciła ten wypadek.

Śmierć ta rozerwała i moje projekta, gdyby nie ona, byłbym na świętach u Lipskich a panna Emilia nieochybnie żoną moją; Cześnik bardzo mnie zapraszał z sobą, ale nie cierpiałem podkomorzego, widzieć go nie mogłem; przytem musiałem wyjeżdżać do Warszawy dla interesu księdza metropolity i z powołania pana Wojewody, wszystko zaś więc z Antosiem w łeb wzięło.

Z Cześnikiem zjechałem się w Warszawie następującej jesieni; od niego dowiedziałem się, że panna Emilia bawiła w ich domu, a pani podkomorzyna skończyła życie obłąkaniem po stracie syna!

Podkomorzy zdziwaczał aż do furyi, uczucie dumy gniotło go i miotało nim, niepodobna też by robak sumienia nie toczył zakamieniałego serca, a cienie syna i żony nie prześladowały nielitościwego starca.

Nie zaraz zerwało się z panną Emilią, poczciwy Cześnik bardzo mnie zachęcał abym do domu jego przybył, brał na siebie to, że panna Emilia wyjdzie za mnie, dodawał że bardzo dobrą partją na mój rachunek odrzuciła.... Moja skłonność do panny, jej przywiązanie do mnie, posag stu dwudziestu tysięcy, połączenie z świetną rodziną, wszystko to nęciło mnie i pociągało; odpowiedziałem Cześnikowi przyrzeczeniem uroczystem, że po kontraktach przyjadę i korzystać będę z łaski jego i panny Emilii. Tymczasem posłałem przez tę zręczność, przypominając się, ogromne pudło cukierków i konfitur od Lessla, z maleńkim bileckim, prosząc o pozwolenie jak najprędszego widzenia się. Powracając, w Lublinie zastałem list Cześnika i w nim grzeczny przypisek panny Emilii z dozwoleniem przyjazdu; ale los mną pokierował inaczej, i więcej widzieć jej nie było mi przeznaczono. Nadchodził listopad, i gwałtowna potrzeba jechania do Warszawy; napędzałem Raczyńskiego, który kończył interesa i sposobił się do ożenienia, będąc jeszcze od niego daleki. Jemu Trybunał ten szczęśliwiej daleko poszedł odemnie: sprawa książąt Radziwiłów przyniosła sto tysięcy, z których czterdzieści miał gotówką, a na resztę pokazywał mi weksl Kabrego; chciał i te dwa tysiące dukatów zawieźć do ogólnej kassy. Dziwiłem się jego powodzeniu a on szydził z mojej dobroduszności, dowodząc mi, żem nie umiał korzystać; wypadło z narady, żem go był powinien był nastręczyć Ks. Rostockiemu, a on miał mi swoich pryncypałów w Lublinie zostawić. Obiecałem mu także pomagać o ile możności u Bukarów.

Zatrzymawszy się jeszcze dłużej nieco niż chciałem, byłem świadkiem śmierci Jagusi, która w srogich boleściach skończyła życie, i w chwili zgonu widzić mnie zapragnęła; tej sceny okropnej opisywać nie będę.

(*G. W.*)

Przemytnik.

Ciąg dalszy.

Aby więc febry, przepastnicą nazwanej, nie dostać, napijmy się po kieliszku anyżówki, którą stary chował na wielkie święta.

— Jakże myślicie stary? zapytał strażnik ocierając sumiaste wąsy. Czy uda się nam dzisiaj?

— Jo! Jo! odrzekł karczmarz po chwili namysłu, poprawiając palcem fajeczkę. Wszystko to w boskim jest ręku!..

Strażnicy kiwneli głowami, zadowoleni wyrocznią tak jasną, jak wszystkie zwykle wyrocznie.

— Ja mam jakieś przeczucie! ozwał się pisarz rezolutnym tonem, że dziś będzie koniec temu czarnemu żydowi. Ja mu końca dojadę. J dla tego napję się raz jeszcze wódki. Kapral! a nalej no! dodał wyciągając do karczmarza próżny kieliszek.

W tej chwili zawył gdzieś pies w dalekiej chłopskiej zagrodzie, przeciągło i żałośnie!...

— Ażebyś przepadł! zagadał gospodarz, nalewając wódki.

Pisarz niezważając na złowrogie wycie golnął tego i duszkiem. Drudzy stażnicy popatrzyli na siebie ze znaczeniem, jeden nawet splunął nieznacznie. Snać wycie psa nie poszło im w smak.

Ułożywszy plan całej wyprawy, którą komenderował strażnik, wyruszyliśmy z karczemki, i puściliśmy się małą ścieszką, na przełaj przez pole wydeptaną, ku granicy. Dwóch strażników miało konie z sobą. Wieczór był jak zwykle wieczór jesienny, ni to ciepły ni zimny, ale w powietrzu była mgła, przechodząca nieraz mimowolnie drzeniem; nic przynajmniej zgóry nie padało, wietrzyk tylko wyrywał się czasami silniejszy, zahuczał i zajęczał po stepie, i suchym szelestem drzew i liści żółtych ginał w lesie do którego dążyliśmy. Ciemno było dosyć, bo chociaż było już w połowie nowiu, i księżyc cienkim i świecącym rąbkiem wisiał na niebie, niebo było zasłane chmurami, które wiatrem gnane przesuwały się po niem, rozciągając po ziemi przeciągłe swe cienie.

Zbliżaliśmy się do granicy i mówiąc po cichu kończyliśmy umowę całego planu. Nad samą granicą był las, który daleko, szeroko i przepaściście ciągnął się po zagranicę. Jednym tylko cyplem szła drożyna graniczna, i dwa słupy graniczne stały na przeciw siebie. Dwóch strażników stanęło z końmi na dwóch rogach przeciwnych tego cyplu; ukryci po za gęste tam drzewa, mieli czekać na dany znak, by skoro się z któregokolwiek końca lasku, przez który przemytnikom najłatwiej było się przemykać na gołe pole, pojawi się oczekiwany żyd czarny, z dwóch końców zabiedz mu drogę i złapać go. Na środku poprzecznej drogi ustawiliśmy trzeciego strażnika, po za słup graniczny ukrytego, ze zlecenim aby w razie potrzeby dawał rozmaite naprzód umówione znaki. My zaś we trzech poszliśmy dalej, przesuwając się pomału przez las, w końcu owego cypla coraz gęściejszy, bo drobnemi krzakami zarosły. Mimo całej ostrożności z jaką szliśmy, szeleściały nam pod nogami suche liście, podnoszące się tu i owdzie tumanem od pociągającego wiatru, i z suchym łoskotem łamały się zeschłe, porozrzucane leżaki.

— Tu niedaleko jest najgłówniejszy przesmyk! mruczał pisarz, który z niepospolitym zapałem szedł na tę wyprawę. Aż mu się oczy zaiskrzyły czy z zapału czy z dwakroć wypitej anyżówki.

Staneliśmy wreszcie u celu. Przy drugim końcu cypla lasowego, mnóstwo krzyżowało się ścieżek, udeptanych przez złodziei lasu i przemytników. Jedna z tych ścieżek ciągnęła się po nad wąwozem nadzwyczaj ciasnym, który jakby odwieczne pęknięcie ziemi rozmaitemi zygzakami ciągnął się środkiem lasu, i wychodził nareszcie aż na sam róg lasku, zarosły gęstemi, karłowatemi krzakami. Że ten wąwoz z jednej i drugiej strony podnosił się nieco, a przez to większy jeszcze cień rzucał na lasowe świrki, więc był to przesmyk dla kontrabandzistów, najwięcej pożądany, bo się milczkiem i niepostrzeżenie mogli popod ścianę wąwozu przemykać. Po obu stronach wąwozu cztery słupy występowały z krzaków, świecąc blachami swemi przy świetle od czasu do czasu występującego księżyca. Ja z pisarzem zostaliśmy na jednej stronie wąwozu, okryci wyższym krzakiem i ścianą samego wąwozu. Strażnik poszedł na drugą stronę wąwozu, i na samej najwyższej jego ścianie położył się nieruchomie na gołej ziemi, pomiędzy kolczaste krzaki wciśnięty, z uchem przy ziemi, a okiem po obu stronach wąwozów, na wszystkie krzyżujące się ścieżki zwróconem.

Czas jakiś przeszedł nam w zupełnem milczeniu, które było nawet koniecznością naszego położenia; cicho było jak zwykle w lesie o tym czasie i o tej porze, kiedy ptaki jesienią zagnane w gęstsze miejsca, przez sen się nawet nie odezwą. Ciszę tę smutną i ponurą przerywał wiatr, który przesuwając się pomiędzy drzewa, dobywał zda się z nich, jakby z piszczałek organowych najrozmaitsze, skrzypliwe i nieprzyjemne tony. Czasem znowu z dalekich chałup i futorów ozwało się melancholijne szczekanie psa, jak to zwykle mówią do księżyca wyjącego. Jest coś w nocnej ciszy, i w takiej w lesie czy na polu samotności, nadzwyczaj przykrego; mimowolnie jak te cienie chmur, przesuwają się same ciemne myśli, same najsmutniejsze pamiątki. I moje myśli poszły tym trybem. Co kiedy straciłem, co kiedy przybolałem to wszystko żałobnym szeregiem przesuwało mi się przed oczyduszy. Żal jakiś sciskał serce, że to wszystko choć smutne już przeszło na zawsze, i już nigdy niewróci, wraz z onym wiekiem i onemi młodemi wrażeniami, które potrafiły zwycięzko walczyć naprzeciw złym chwilom. A dziś brakowało mi jakoś odwagi i rezygnacyi; to całe życie wydało mi się tak pustem, tak jałowem.

I jestże to godnem człowieka myślącego zasiadać na drugiego człowieka, aby go zrobić nieszczęśliwym, aby odebrać mu parę worków herbaty lub tytoniu który przecie za własne kupił pieniądze, i których zarobkiem może utrzymać całą rodzinę.

Takie były myśli moje, coraz ciemniejsze. Po rodzinie niewiem dla czego mi przyszła na myśl piękna żydówka i jej siwy pradziad. Żal mi się ogromny zrobiło tej ślicznej

*

żydóweczki z sercem pałającem, z wyższą wyobraźnią, rodzącą zwykle wyższe wymagania.

— Musi być nieszczęśliwą, bo żydówka! mówiłem sam do siebie, zły na świat i jego ustawy.

Myśląc to oczy miałem zwrócone na krzak samotny, który dalej już na polu, sam jeden jakby wideta lasowa na polu sterczał, dwoma gołemi konarami, jakby dwoma ruszając ramionami. I zdało mi się, że coś przemknęło pomiędzy oba konary, ale tak szybko, tak chwilowo, że nic nie widząc więcej, przekonałem się, iż to być musiał cień samego krzaku, chwilową jasnością migający.

Nie spuszczałem wszakże oka z samotnego krzaka, gdy nagle uchu memu, do ściany wąwozowej przytulonemu, zdało się usłyszeć tuż podemną jakiś cichy, jednostajnie powtarzający się szelest. Poruszałem towarzysza mego z lekka i szepnąłem mu.

— Tam w wąwozie coś się rusza!

— Ej gdzie tam, odrzekł kiwając ręką.

— Jak gdyby coś powoli stąpało.

— Może lis wraca do nory.

W tej chwili ozwał się głos przytłumiony puszczyka. Szybko podnieśliśmy głowy. Byłto znak umówiony przez strażnika, aby w razie, gdy tego uzna potrzebę, zwrócić drugich uwagę i czujność.

— Musiał coś zobaczyć, szepnął pisarz.

— Lub usłyszyć może! dodałem, coraz więcej przekonany, że to co słyszałem w głębi wąwozu, było cichem i regularnem stąpaniem. Ciągle więc miałem ucho do ziemi, a oko do krzaku zwrócone. I zdało mi się że coś łysnęło w krzaku pomiędzy dwoma konarami, lecz to chwilę trwało tylko. Niewiem dla czego przyszło mi na myśl, że to jeszcze te dwie gwiaździste towarzyszki podróży, co mnie z miasta wygoniły. Lecz nie miałem czasu nad tem się zastanowić, bo w tej chwili ozwał się powtórny głos puszczyka. Choć to nie był jeszcze głos ostatni, zerwałem się na nogi, bo mnie już zmęczyło to nieczynne leżenie. Czułem wewnętrzną niecierpliwość która mnie trawiła.

I w tej chwili zobaczyłem i usłyszałem naraz, usłyszałem przeciągłe gwizdnienie strażnika, na które odpowiedziały kilkakroć powtórzone gwizdnienia, których echo kilkakroć dziko się rozeszło po lesie i po ciszy nocnej. A z głębi wąwozu, czemu oczy nasze ledwie uwierzyć chciały, bo wąwoz był tak ciasny i zarosły, że zda się ledwie gad lub zwierze prześliznąć by się zdołało, wysunął się nagle, jakby cień jaki fantastyczny, człowiek na koniu. Grube chmury, zsunięte na niebie, tak wszystko zaciemniły, że ledwie po zarysach widzieć można było postać człowieka i konia na którego grzbiecie spoczywała massa czarna pakunków.

Była chwila milczenia. To niespodziane zjawienie się w tem miejscu, zupełnie nieprzewidzianem, odurzyło wszystkich.

— Stój bo strzelę! ozwał się głos strażnika i łysnął z krzaku bagnet jego. A zarazem usłyszeliśmy tętent po zroszonej trawie. To drudzy strażnicy na koniach zbliżali się czwałem.

Lecz jeździec ciemny nic nie powiedział, i silnym susem konia swego wyskoczył z wąwozu, i już był na wolnem polu; właśnie silny powiał wiatr, i rozegnał chmury na niebie skupione. Jasny księżyca sierp wypłynął, i przy świetle jego przez krótką chwilę ujrzeliśmy całą postać przemytnika. Dla człowieka przesądnego mogło się prawdziwie całe to zjawisko wydać nadnaturalnem. Byłto bowiem ogromny mężczyzna, na ogromnym koniu a przy bladawem oświeceniu wpośród cieni nocnych wydawali się nienaturalnie olbrzymiemi. Mężczyzna był silnej, atletycznej postawy, jakgdyby cały z jednej sztuki kamienia wyciosany; ogromna, po pas prawie sięgająca broda, zupełnie czarna i takież długie włosy, rozwiane przez wiatr w koło głowy i twarzy, nadawały jeźdcowi coś dzikiego i niezwyczajnego, do czego pomagały jeszcze jakby widocznie fosforycznym ogniem łyskające oczy. Odziany był cały czarno, bo i czapka futrzana na głowie i burka co mu służyła za ubranie takiej były barwy; tożsamo i koń ogromny, pleczysty z garbonośnym łbem, czarny był jak gałka.

— Stój bo strzelę! powtórzył strażnik raz jeszcze. Byłato z jego strony próżna tylko groźba, wyrachowana na przestraszenie lub powstrzymanie przemytnika, bo właśnie szło o to, aby go żywcem złapać. I już jak się nam zdało, kuso było koło niego, bo nasi strażnicy na niezłych wcale koniach na przełaj goniący, dobiegali czarnego jeźdzca, który na groźby zdawał się być głuchym, bo ani głosem, ani żadnym ciała ruchem nie dał do poznania że je usłyszał.

— Stój rozbójniku, złodzieju, żydzie, krzyknął pisarz który drżał z namiętnej niecierpliwości, i wyskoczył naprzód, jakby go sam mógł schwytać.

Na ten głos i te słowa jeździec zatrzymał nagle konia. Mimo niebezpieczeństwa, tak widocznie mu grożącego, bo strażnicy byli od niego ledwie o długość konia, stanął na miejscu i zwrócił się do połowy ku nam. Szybkim ruchem sięgnął za burkę, i wyciągnął... dopiero po blasku jaki nagle wraz z hukiem zaświecił, poznaliśmy, iżto był pistolet. Padł strzał, przy jego blasku udało mi się widzieć na twarzy jeźdca uśmiech i spojrzenie, pełne dzikiej złości. I uderzył konia nogami; koń nadzwyczajnym skokiem wysadził się naprzód z pomiędzy czterech rąk, sięgających już ku ciemnej jeźdca burce i wszyscy trzej jeźdcy znikli tumanem w ciemnej nocy. (D. n.)

Sierota.

Do Z.....

Wieczór... w twarz bije marcowa słota,
Jam szedł w żałobie westchnąć do Boga,
I gdym smętarne pomijał wrota,
Spostrzegłem blade dziewczę u proga.

I pytam: skąd ta szata żałoby?
Na twarzy bladość? w oczach tęsknota?
Dziewczę wskazało rączką na groby,
I wypłakało z serca: Sierota!

Sierota? — dziewczę, patrz w oczy moje,
I jam sierota! i mnie łza boli!
Na groby ojców chodźmy oboje,—
Zaradzić naszej sierocej doli.

B. B.

Odwiedziny u Mićkiewicza.

Dokończenie.

W szkołach okazywał nader mało zdolności do matematyki. Jedną z pierwszych jego prac literackich, było tłumaczenie bajki Lafontaina: *Wilk i Brytan*, którą dla spółucznia do examinu napisał. Nauczyciel wziął ja za bajkę przekładu Trembeckiego, co mocno M: uradowało, i o czem jeszcze i teraz, gdy mi to opowiadał, z zadowoleniem i dumą wspominał.

— „To mistrz” rzekł o Trembeckim, i zachwalał jego spolszczenie bajek Lafontaina. Trembecki, Skarga, i autor Pamiętników Soplicy, byli ci 3 polscy pisarze, o których w tej rozmowie dał poznać, że ich najwyżej ceni.

Pierwszych swoich utworów do druku nie przeznaczał. Napisawszy *Dziady*, zapomniał o nich; przypadkiem znowu je odkrył. Balady jego powstały w czasie gdy ten rodzaj poezyi, przez pisarzy zagranicznych uprawiany, zyskał znaczną wziętość w Europie. Ktoś M: zapytał, dla czego i on w podobnych pracach sił swych nie próbuje? To zapytanie sprawiło mu noc bezsenną, lecz talent w nim ocknęło.

Grażyna jest to studjum na dawnych autorach, żartem za starodawny, nowo odkryty rękopism podane, i jako takie profesorowi przedłożone.

Giaur został spolszczony całkowicie w skutek zachęty Niemcewicza, któremu podobały się niektóre ustępy dawniej przełożone. Miejsca z 4tej Xięgi P: Tadeusza, o których przypis wspomina, że są pióra Witwickiego, przeszły w opracowaniu całości przez przerobienie.

Posiadał fragmenta tłumaczenia *Fausta*, które mu w pożyczeniu zginęły. Dramat francuski: *Le siège de Cracovie*, doznał podobnego losu, z winy jakiegoś reżysera teatru. Nie był bez wartości. Dzieł w tece nie posiada żadnych, prócz tłumaczeń bajek Lefontaina, niektórych pozaczynanych dzieł i fragmentów; wypada doliczyć do tego I *Część Dziadów*.

Zrobiłem Mićkiewiczowi uwagę, iż ze wszystkich dzieł jego najpowszechniejszą ma wziętość Pana Tadeusz, i że *to* znamionuje doskonałość autora, że nawet osobom nie umiejącym czuć poezją, prostakom i cynikom Pan Tadeusz podobać się musi.

— „Tak jak Psalmy Dawida” odrzekł.

Mówił mi jeszcze że nad żadnem z dzieł swoich, dłużej nad dwa miesiące nie pracował. Pisząc III część Dziadów miał przerwę, powodowaną śmiercią przyjaciela (Garczyńskiego) i podróżą z tej przyczyny odbytą.

Gdy mi to rozpowiadał, chciał mi pokazać pierwotny rękopis Dziadów, i zbliżywszy się do biórka, szufladę otworzył. Rękopisu rzeczonego nie mógł na prędce znaleść; za to wydobył z papierów, leżących w nieładzie, półarkusz złożony w ćwiartkę i zapisany cały we francuskim języku. Nie wierzyłem oczom moim, zdało mi się że marzę, gdym pomyślał, że jestem w obecności Tego dla którego oglądania jedynie, podróż do Paryża przedsięwziąłem, że mię niejako do swej poufałości przypuszcza, i że prawdziwie po bratersku, jak rodak z rodakiem się obchodzi. Czem ośmielony prosiłem go o autograf na pamiątkę.

Jakoż dobył małą francuską, gotową kopertę na list, i napisał na niej, zapytawszy wprzód o imie:

P: Wiktorowi Baworowskiemu, życzenie wytrwałości.

Lutego, 2, 1853. Adam Mićkiewicz.

Mówiłem Mićkiewiczowi, że posiadam jego autograf. Jestto wiersz umieszczony w jego dziełach pod tytułem: *Do M: Ł: w dzień przyjęcia komunii św:* W autografie ma nadpis: *Sen po spowiedzi* i niektóre małe warjanty; u dołu zaś: *Pisałem w Rzymie powróciwszy z Gesu, gdziem widział spowiadające się panie moje*” Kobiecą ręką zaś zanotowano: *na dzień 9 Stycznia 1830 w Rzymie.*

M: Ł: jestto podobno Panna Łempicka, przyjaciółka Pani Rudkowskiej, z domu Ankwiczówney.

Gdym mu o tym wierszu wspominał, powiedział że jest jednym z jego utworów, który najwyżej ceni. Pismo tego autografu różni się wielce od późniejszych: jest drobne, równe, skupione, podczas gdy z lat poźniejszych, nieforemne i rozrzucone.

Mićkiewicz był wzrostu średniego, czoła szerokiego; głos miał ostry i krzykliwy, wymawiał twardo i z trudnością; akcent jego zarywał na powiatowszczyznę; wyrażał się lakonicznie. Ruchy i ułożenie nie miały cechy wyższego wykształcenia. Co do umysłowego wyrazu twarzy, widać w niej było pojętność, lecz nic więcej nadto. Najmniej wyglądał na autora *Dziadów, Farysa.* Rozweselenia ani uśmiechu na jego acz pogodnem obliczu nie dopatrzyłem—; z resztą miał zupełnie powierzchowność tego „in quo natus”, zaściankowego szlachcica.

W. B.

Pisarze dzisiejsi.

I.

Władysław Syrokomla.

«Synowie młodszych czasów, rowieśnicy moi!
«Przyjdźcie do nas posłuchać, jak się harfa stroi,
«A otoczcie lirnika serdecznie i pięknie,
«A wybaczcie, gdy czasem zbyt słabo zabrzęknie,
«A przyjmijcie łaskawym uśmiechem na twarzy,
«Gdy wam powieść o wiekach dawniejszych wygwarzy.

Takto przemawia do nas poeta «Margiera» a nastroiwszy harfę, spiewa nam pieśń o «wiekach dawniejszych« otwiera serce swoje, i zwierzył się nam w całej prostocie duszy szlachetnej. Syrokomla nie spiewa nam piosnek schwyconych fantazją. nic mu się nie przyśniło ani uroiło, we wszystkiem co pisze widać serce tkliwe, duszę piękną, lub uśmiech chwil weselszych. Nie jestto artysta z zimną, surową twarzą, który z cyrklem w ręku rysuje postacie swego obrazu, jestto poeta pełen życia i natchnienia, poetyzujący wszystko, co mu pod rękę wpadnie, tkliwy na wszystkie wrażenia, szukający wszędzie melodii i poezyi, a nawet i wtedy gdy „kotek na niego mruga.”

Jest on jednym z tych pisarzy, co pisząc maczają pióro w sercu, a spowiadając się publiczności z najtajemniejszych uczuć swoich, budzą w niej mimowoli chęć

poznania samego pisarza. Postać Syrokomli wychyla się do nas z każdego jego utworu, w każdym grają własne jego uczucia rzewne, tkliwe i tęskne, a jeśli kiedy są chwile weselsze, chwile lekkiego dowcipu, to będzie to tylko przelotny uśmiech twarzy, nie uśmiech serca. Czytając jego dzieła mimowoli nam nasuwa się pytanie, kto jest ten pisarz i jak on wygląda. Interesuje nas cała postać a nawet koleje jego życia. Spróbujmy więc, mimo tak wielkiej odległości, jaka nas od osoby przedziela, skreślić jego portret według tych zarysów które nam jego dzieła podają.

Władysław Syrokomla, właściwie Ludwik Kondratowicz, urodził się na Polesiu 1823 r. Posłuchajmy jak sam mówi o rodzinnych swoich stronach:

«Wyjechawszy z dworku wstępujemy na wysoką górę z której jak na dłoni widać na lewo rozległe, puste pola, na prawo zielone łąki i śród nich gdzieniegdzie sterczące, rozsochate dęby, dalej zatoki Niemnowe, drobną wierzbą zarosłe — dalej srebrną wstęgę samego Niemna, za nim lasy, chatki, z daleka rozrzucone, góry piaszczyste, szerokie pól rozłogi — okolicę piękną dla oka, do niej wtajemniczonego, ale pustą dla obcego gościa, który nie ma swych wspomnień tutaj przywiązanych, który nie umie pojąć szczególnego wyrazu w spiewie tutejszych słowików, w szumie tutejszego wiatru.«

A takich wspomnień ma wiele nasz poeta, które go do tej pustej dla obcego gościa« ziemi przywiązują, bo zaraz z grobli okazuje nam w nizinie wieś błotnistą, zaledwie z dziesięciu chat złożoną, a mówiąc o niej, wyszczególnia ją nawet przed inemi.

«Nie śmiejcie się pobłażliwi czytelnicy, odzywa się poeta, z arystokratycznej pretensyi tej wioski przed innemi a ukażę wam pamiątkę, z której się zaprawdę wioska ta pochlubić może. Czy widzisz z tej grobli tuż przy cerkwi w ogrodzie, mały, dziś licho utrzymany dworek? to jest leśnictwo tutejsze. W tym dworku, w tym ogrodzie, spędził swe dziecinne lata polubiony dziś od publiczności młody powieściopisarz, znany pod imieniem Adama Pługa, autor *Spowiedzi*, *Dzieciobójcy*, *Zarazy* i innych pism, Antoni Pietkiewicz. Towarzysz lat dziecinnych, żywo pamiętam młodego poetę w gronie zacnej, szlachetnej rodziny, w objęciach braci i dobrej matki; pamiętam te skromne izby, ten kwitnący ogródek, i te dobre serca mieszkańców dworka, na których patrząc człek się rozmiłowywał w skromnej prostocie praojców»!

Jak trafnie maluje ten krótki ustęp naszego poetę, jak piękne światło rzuca na serdeczne stosunki tamtejszych pisarzy! Są to niby synowie jednej rodziny, wszyscy zarówno, z wzajemną pomocą krzątają się około dobra niższej braci swojej, pełniąc w wiejskiej zaciszy z chrześcijańską gorliwością święte obowiązki kapłana-pisarza. Nie szukają oni w tym zawodzie świetności światowej, nie sprzedają pióra swego tej lub owej zasadzie, nie szermierzą jak najęci gladiatorowie, ale piszą, co im serce każe, do czego ich dusza szlachetna zagrzewa.

Ciernisty lecz święty jest zawód pisarza. I Syrokomla tak ten zawód pojmuje, a w nagrodę niczego nie pragnie jak łez i marzeń. Serce jego starczy mu za wszystko. Tak jest, młody poeto, woła za swoim przyjacielem, w sercach naszych znajdziemy siebie. Z nad brzegów Dniestru, z nad brzegów Wilii, kiedy nas los rozpędził, serca nasze i nasze wspomnienia zbiegają się niekiedy na piaszczysty brzeg Niemna, aby tam podumać i zapłakać, a w uroczystym uścisku odmłodnieć i orzeźwić się, na drogę powszedniego życia."

Młodość swoją przepędził Syrokomla jak każdy z nas, szkoły skończył bez wielkiego dla siebie pożytku. Całe ukształcenie winien sam sobie. «Czytałem od dziecka z ochotą, pisze do przyjaciela, czytałem samopas, czytałem w chwilach lekcyi, w chwilach rozrywki, i tak bez porządku ale z oddaniem się, przywykłem kształcić sam siebie.»

Nauki początkowe pobierał w Nieświeżu u XX. Dominikanów, którzy umysł jego napoili bojaźnią bożą która w każdym jego utworze przebija. Roku 1839 skończył zawód szkolny, a rok poźniej wstąpił do służby publicznej jako kancelista. «Przy charakterze powolnym, zwierza się dalej poeta, rozważnym, nieśmiałym, zachowałem niepodległość umysłu i niewiarę we wszelką powagę. Mniej więcej ochoczo, mniej więcej szczęśliwie uczyłem się i dotąd uczę wszystkiego, ale o wszyskiem dopóty nie mam żadnego zdania, dopóki nie wyrobię sobie własnego, które ma się rozumieć, zostawiam sobie nieograniczone prawo modyfikować w miarę tego, jak się przedmiot zgłębia, Oto jest klucz do kontrastów mego charakteru, może upartego i słabego zarazem».

Ileż to prawdy jest w tej prostej spowiedzi autora! Co większa, poeta jeszcze więcej zbliża się do serca czytelnika, czyniąc go poufnym powiernikiem tajemnic swoich serdecznych. «Co do serca, mówi dalej, Bóg mnie stworzył z sercem miękkiem, i nie chwaląc się, mówię, że nie słowy, ale czynem samym cieszę się i boleję radościami i klęskami ludzkości. Czy byłem szczęśliwy w miłościach? Nie wielce, bo mi nie dano ani urody uderzającej, ani blasku wymowy, ani pieniędzy; ale jeśli to prawda, (a ja w to wierzę) że samą potęgą uczucia prawdziwego można zhołdować serce czyste, toć nie byłem bez wzajemności.«

Cóż może nam więcej odsłonić czystą, anielską duszę poety, jak tych kilka słów szczerej, poufnej spowiedzi?

O wpływie pism czasowych na kształcącą się młodzież nie raz już była mowa, nie raz pisano już szeroko o korzyściach, jakie ztąd na czytającą publiczność wypływają, a przecież dają się dzisiaj słyszeć zdania, nieprzyjazne literaturze perjodycznej, jakoby pobieżnością i płytkością obrabiania przedmiotów szkodliwie na umysły działała. Są to często zdania ludzi wytrawnych, ale ci ludzie zapominają o tem, że w początkach zawodu swego właśnie w tak.ch pismach perjodycznych szukali rady i nauki dla siebie, i zaprawiali się do pióra w pracach lekszego zakroju.

Skończywszy czasy swojej młodości, czasy szczerego zapału i natchnienia, zdaje im się, że do ich urojonej wielkości tego jeszcze potrzeba, aby z lekceważeniem a nawet i wzgardą mówić o owej jednodniowej literaturze, która prócz zabawki, żadnego innego niema celu. Utyskują na młodsze pokolenie pisarzy, którzy schlebiając ułomnościom czytającej publiczności, piszą dla niej powieści, romanse i wiersze, podczas gdy ich tomowe dzieła w bibliotekach

pleśnieją. Nie pojmują ani tego, że młoda, czytająca publiczność potrzebuje serca a nie pedagoga, śpiewek a nie rozpraw. Zamiast się zniżyć do tej publiczności i do jej potrzeb się zastosować, zamiast prowadzić ją stopniowo co raz wyżej, budzić w niej zamiłowanie do wyższego, umysłowego życia, bawić a przytem uczyć, występują naraz z programem uczonej prelekcyi i skarżą się, że nie mają słuchaczy. Przepowiadają upadek moralny, widzą rozprzęgnienie społeczne, wyrzekają na czasy zepsucia, i uciekają do najdalszej przeszłości, aby na jej cmentarzach dumać i marzyć. Ale społeczeństwo dzisiejsze nie odnosi ztąd żadnych korzyści, bo strofowane i łajane nieustannie, straci w końcu jak ów zahukany elew wiarę w siebie, albo, co podobniejsza, wiarę w zgryźliwego pedagoga. Wtedy to następuje rozbrat między pisarzem a publicznością. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Żydowski kredyt.** Na początku wieku 17go żył w Polszcze *Achacy Kmita*, który rozmaite pisywał wiersze. Sławnym był ze swojej nienawiści do żydów, z któremi jako urzędnik żup solnych, mnogie musiał mieć stosunki, i za ich oszukaństwa wetował się w dość szczególny sposób, bo wierszami ale nie tęgiemi. Z tego powodu doskonała w owym czasie biegała pomiędzy ludźmi anegdota. Ktoś straszył naumyślnie jakiegoś żyda wierszami Achacego Kmity, które jak twierdził mogą zaszkodzić mocno w Polszcze Izraelitom. Żyd na to odpowiedział: — Miłościwy panie! gdyby taki kredyt mieli żydzi w Polsce jak wiersze Kmity, toby już ich dawno tutaj nie było.

* **Kasper Miaskowski** poeta nasz wieku 17go, wcale znakomity jak na swój czas, był wielkim miłośnikiem wsi. Nad progiem skromnego domu wiejskiego, był napis wierszem, którego treść była następująca:

„Że dóm ten rad ludziom uczonym, i tym co szczepią wonne kwiatki na Helikonie. Tu wdzięcznie przyjmują ludzi szczerych i uprzejmych, zgodziwych, nienoszących w sercu jadu, i tych co nieodnoszą płonnych radzi wieści.„

Ten ostatni warunek mógł uchodzić w 17 wieku; w naszym gdyby go za konieczność uważać chciano, to by podobno żadne już się dla gości nie otwierały drzwi.

* **Angielsko niemieccy legioniści** nie są zbyt zadowoleni, mianowicie przy zawartym już pokoju, i dla tego umykają jak mogą z obozu pod Schorncliffe gdzie stoją teraz. Rząd angielski który rad by może był, by ta cała legia cudem jakim stajała zupełnie, patrzy na to przez szpary, a przynajmniej kary na dezerterów nie są zbyt srogie. Z tego powodu między innemi rozpowiadają następujące zdarzenie. Legionista jeden młody, chcąc koniecznie wrócić do rodziny, postanowił uciec. W tym celu od przybyłych z Helgolandu legionistów nabywał pomału po sztuce, każdą od innego, wszystko co mu było potrzebne do złożenia ubioru cywilnego. I tak od jednego nabył surdut, od drugiego czapkę, od trzeciego koszulę i koszula go wyratowała. Pewnego tedy poranku wymknął się do niedalekiego Folkstone, aby tam siąść na kolej żelazną. W dworcu stoi ajent policyjny naumyślnie tam postawiony aby zatrzymywać uciekających; postrzegłszy naszego bohatyra, miał na niego posądzenie, lecz że w Anglii samo posądzenie nie pomaga, wziął się na sztuczkę i prosił zbiega by surdut rozpiął. Ledwie spojrzał na koszulę, poznał że nie żołnierska i skłonił się legioniście jako prawdziwemu Gentlemenowi. Jeszcze miał nieco biedy nasz zbieg w wagonie, gdy zdybał się z kolegami, których za zbiegostwo wieziono do więzienia do Londynu, lecz mieli wszyscy tyle krwi zimnej i przytomności umysłu, że tylko na migi się porozumieli, i tym sposobem młody zbieg dostał się wreszcie do Londynu, a z tamtąd do rodziny swojej Może nam kiedyś opisze swoje angielskie zdarzenia, i czyny bohaterskie tej obozowej panów legionistów wojaczki.

* **W Lipsku** jest teraz 160 księgarni i 36 drukarni, które zwykle zatrudniają 100 pras i 60 pospiesznych maszyn, do czego codziennie potrzeba około 700 zecerów i drukarzy. Przed laty dwudziestą miano to za coś nadzwyczajnego, że w Lipsku drukuje się codzień 30 milionów arkuszy papieru. Dzisiaj wychodzi papieru najmniej trzy razy tyle. W czasie jarmarków głównych, mianowicie na wielkanoc, na świętego Michała, taka jest massa przyjezdnych cudzoziemców, że są dnie, w których kręci się naraz po ulicach 50 do 70000 obcych.

* **Z życia ministra Samuela Foxa.** Niedawno wyszło w Londynie dzieło bardzo zabawne pod tytułem »Fable Falk af Samuel Rogers, zawierające wiele ciekawych anegdot o sławniejszych angielskich znakomitościach. Pomiędzy innemi pisze o Foxie:

Fox w młodym wieku był dandysem pierwszej siły, miał zawsze na głowie mały francuski kapelusik, a na nogach trzewiki z czerwonemi obcasami, i. t. d. On i Lord Carlisle jeździli raz do Paryża dla tego tylko, aby kupić modne kamizelki, i tak też przez całą drogę o niczem innem nie mówili. Już to w ogóle Fox prowadził za młodu życie bardzo roztrzepane. Lord Fankerwille zapewnia, że nieraz w restauracyi Brookesa Fox przesiadywał z Fitzpatrykiem przy kartach od dziesiątej wieczorem aż nazajutrz do szóstej poobjedniej, i że ciągle trzymali przy sobie jakiego posługacza, aby im mówił na kogo zadanie, bo im samym oczy się kleiły ze zmęczenia. Przegrawszy grubo Fox, zwykle spieszył do domu, ale nie aby się zastrzelił, jak się tego przyjaciele jego nieraz obawiali, ale aby usiąść spokojnie i czytać po greeku. Razu jednego wygrał 8000 funtów szterlingów; jeden z jego dłużników dowiedziawszy się o tem pospieszył do niego, i żądał zwrócenia długu.

— To jest niepodobne! odpowiedział Fox; ja najprzód muszę powypłacać honorowe długi moje.

Dłużnik zaprotestował:

— A więc daj mi wexel! ozwał się znowu Fox. I porwawszy wexel podarł go i spalił.

— A teraz! dodał, dług ten stał się honorowym; i wypłacił go zaraz.

Razu jednego gdy Leonardi balonem się puszczał, poszedł Fox także na to widowisko wraz z bratem swoim, jenerałem. W ścisku porwał się za zegarek i zdybał tam jakąś obcą rękę.

— Przyjacielu! rzekł do złodzieja; wybrałeś sobie zawód, który cię zgubić może.

— Ach panie Fox! odpowiedział złodziej płaczliwym głosem, przebacz mnie pan i puść. Mnie przymusiła do tego najwyższa nędza: moja żona i dzieci mrą w domu z głodu.

Fox, miękkiem sercem obdarzony, wsunął gwineę złodziejowi do ręki.

Przy końcu widowiska chciał zobaczyć która godzina, lecz zegarka nie było.

Brat jego widząc to rzekł do niego.

— Wiem już o tem, widziałem jak go brał twój przyjaciel.

— Widziałeś i nie przeszkodziłeś?

— Zdawało mi się że jesteście na stopie tak poufałej, iż niechciałem mieszać się do tego.

* **Dobry sposób na pojedynki.** — Mój panie! pan mnie urażasz! zawołał anglik.

— To mi wszystko jedno; ja zostaję przy mojem zdaniu! odpowiedział amerykanin.

— A więc zdybiemy się!

— Niech będzie!

I zdybali się, oba z pistoletami w rękach. Każdy z nich miał strzelać z kolei. Anglik strzelił pierwszy i chybił; Amerykanin podniósł pistolet, i celował z uwagą.

— Wstrzymaj się! zawołał Anglik; ja kupię twój strzał u ciebie.

— To dałoby się zrobić!.. i cóż dasz za strzał?..

— 500 funtów szterlingów!

— To za mało! mój strzał wart daleko więcej; ja jestem jego pewien.

— Pan mnie zanadto cenisz; ale mniejsza o to; dam 1000 funtów szterlingów.

— Przyjmuję! odrzekł amerykanin, wziął pieniądze i wrócił do domu. —

Przyjechali od dnia 7. do 8. Kwietnia do Lwowa.

PP. Antoni Skrzyszewski z Starejsoli. Klemens Hagen z Krakowa. Adam Kołaczkowski z Przemyśla. Mieczysław Ritterschild z Jurowic. Fran. Ritterschild z Jurowic. Józef Jaworski z Korzelic. Alexander Gnoiński z Krasnej. Teofil Ostaszewski z Wadowa. Tadeusz Skólimowski z Beska. Eugeniusz Styrza z Krosna. Antoni Wojnarowski z Stryja. Tytus Mikułowski z Pieniak. Konrad Bobrowski z Tarnopola. Zygmunt Dobrowolski. Włodzimierz Dorożyński z Tarnopola. Józef Zawadzki z Stryja. Józef Kunaszowski z Tarnowa. Jan Lityński z Nowosiółki. Józef Kieszkowski z Brodów.

PP. Felix Mołęcki z Wisłoboków. Stefan Krasowski z Pielchowa. Ignacy Ohanowicz. Stefan Torosiewicz z Brzeżan. Ignacy Paszkudzki z Żedowic. Fran. Siemiański z Bolszowic. Alexander Kabath z Humnisk. Józef Pieniążek z Stankowa. Ferdynand Gutkowski z Horysławic. Mikołaj Wiśniewski z Husiatyna. Józef Nikorowicz z Złoczowa. Edward Duniewicz z Nowoszyc. Piotr Zawadzki. Antoni Zawadzki z Probuzna. Włodzimierz Siemigienowski z Torska. Stanisław Dobrzański z Daszawy. Teodor Glixeli z Glinian. Karol Barański z Chłopczyc. Michał Barański z Radłowic. Fran. Bal z Tuligłów. Edward Micewski z Krechowa. Alexander hr. Czacki z Krechowa. Eugen Strzelecki z Wyrowa.

Wyjechali od dnia 7 do 8. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Mikołaj Wolański do Paszówki. Grzegórz Ziembicki do Pieniak. Józef Jełowicki do Tłustego. Leon X. Sapicha do Krakowa. Bolesław Komarnicki do Komarna.

PP. Piotr hr. Komorowski do Wieliczki. Jan hr. Dzieduszycki do Siechowa. Jan Ustrzycki do Przemyśla. Leon Brunicki do Krakowa Leopold Leszczyński do Dolinia Zygmunt Dobrowolski do Krakowa Konrad Bobrowski. Włodzimierz Dorożyński do Krakowa. Felix Mołęcki do Wisłobok. Władysław Zawadzki do Kulikowa. Alexander Gnoiński do Krasnej. Fran. Torosiewicz do Czeremchowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 9 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	$101\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% . . .	$86\frac{1}{4}$
Hamburg za 100 tal. branco	$74\frac{5}{8}$	Akcye banku	1129
Londyn za 1 funt szterl.	10.5	Kolej północna . . .	3000
Medyolan za 300 lirów	102	Obl. ind.	$79\frac{3}{8}$
Paryż za 300 franków	119	Nowa pożyczka z loteryą	110
Agio duk. ces. . . .	$5\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa .	$87\frac{1}{16}$

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	zł r.	kr.	zł r.	kr.
Dukat holenderski	4	42	4	46
Dukat cesarski	4	45	4	48
Półimperyał zł. rosyjski	8	10	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	8	1	9
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	83	45	84	—
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	78	—	78	45
5 proc. pożyczka narodowa	86	30	87	30
Śrebro	103	—	104	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierzawca W. MANIECKI.